

grudzień 1990

GŁOS

GRUDZIEŃ 1990

KARCZEWA

PISMO GMINY I MIASTA KARCZEW

BOŻE NARODZENIE.

Najradośniejsze

ze wszystkich świąt

i najsilniej osadzone

w polskiej tradycji.

W tym roku obchodzimy je

w atmosferze szczególnie

radosnej. Polska bowiem

jest wreszcie innym krajem,

niż była przez ostatnie

czterdzieści pięć lat.

Świąteczny nastrój

sprzyja refleksji.

Zastanówmy się więc i my

nad czasem, w którym

żyjemy, nad sytuacją,

w jakiej świętujemy

tegoroczne Boże Narodzenie.

Tak, to prawda, mamy wiele

powodów do radości.

Ale równie wiele do smutku.

Nie łudźmy się, że osiągamy

stabilizację gospodarczą,

nie dajmy się zwieść

widokowi ulicznych straganów

pełnych wszelkiego dobra.

Tysiący ludzi nie stać na to,

by na tych straganach

cokolwiek kupić. Bez mała

milion bezrobotnych żyje

w nędzy, parę milionów

emerytów i rencistów

wegetuje poniżej minimum

socjalnego. Społeczeństwo

jest podzielone, a istotna

jego część — mam na myśli

tych, którzy dali się uwieść

iluzjom groteskowego

kandydata na prezydenta,

pana Tymińskiego — nie ma

poczucia realizmu.

Dzisiaj Polska najbardziej

potrzebuje rozsądku

swoich obywateli.

Pamiętajmy o tym łamiąc się

opłatkiem i życząc sobie

lepszego dnia.

Tych lepszych dni

nikt nam nie da,

musimy je sami stworzyć.

Redaktor ■

SZANOWNI PAŃSTWO,

mija właśnie pół roku od chwili, gdy objąłem urząd Burmistrza Miasta i Gminy Karczew. Okres, w którym przyszło mi współrządzić wraz z Zarządem Gminy oraz Radą Gminy jest wyjątkowo trudny. Zmiany polityczne i gospodarcze, które dokonują się w naszym kraju, są odczuwalne również i przez społeczeństwo naszej gminy. Nie tylko czujemy te zmiany po sposobie funkcjonowania gminy, ale także, a może przede wszystkim, po grubości naszego portfela. Zasobność portfela gminnego ma ogromny wpływ na to co się w tej gminie dzieje. Chciałbym więc przedstawić w dużym skrócie sytuację gospodarczą gminy w poszczególnych działach. Zaczę od działu, który najbardziej rzutuje na zasobność kasy, a także na opinię państwa o gospodarce gminy, to jest od spraw inwestycji i remontów kapitalnych.

W inwestycjach i remontach kapitalnych pomimo olbrzymich kłopotów finansowych realizujemy następujące zadania:

— elektryfikacja osiedla mieszkaniowego „Warszawska”,

— budowa ujęcia wody i wodociągu w Glinkach,

— rozbudowa szkoły podstawowej nr 2,

— modernizacja sieci energetycznej i oświetleniowej (etap VI obejmujący ulice: Zatylna, Świdzka i Kościelna),

— modernizacja oświetlenia we wsi Glinki.

Wymienione zadania pochłonię większość środków finansowych Rady Gminy. Należy również powiedzieć, że robimy mniej kosztowne, ale jak znaczące dla mieszkańców naszej gminy drobne inwestycje, należące do nich:

— wykonanie nowych połączeń telefonicznych dla mieszkańców naszych wiosek w liczbie około 60 numerów,

— oświetlenie alei lipowej w Otwocku Wielkim,

— wyposażenie wiosek gminy w kontenery na nieczystości stałe,

— bieżące naprawy ulic i chodników w naszym mieście.

W dziedzinie oświaty, w roku bieżącym działaliśmy bardzo wiele. Otóż na mocy prawa z dniem 1 września bieżącego roku przedszkola na terenie miasta i gminy, które dotychczas podlegały kuratorowi, przeszły pod zarządek samorządu terytorialnego. Również na wniosek Rady Gminy przejęliśmy szkoły podstawowe. A więc obecnie zarządza przedszkolami i szkołami podstawowymi samorząd, natomiast w kuratorium pozostaje nadzór merytoryczny. Należy także powiedzieć, że Zarząd Gminy na bazie pomieszczeń ciepłowni planuje obecnie uruchomić szkołę średnią. Przyszła szkoła średnia

Bibl. Publ. m. st. W-wa

Eqz. obow.



oprócz istniejącej szkoły zawodowej poszerzyłaby zakres nauczania o klasę zawodową lub technikum o profilu ogólnokształcącego.

Chciałbym stwierdzić, że pomimo zasadniczej zmiany podległości oświaty w naszej gminie, a także wbrew obawom środowiska nauczycielskiego, udało nam się przejąć oświatę bez zakłóceń organizacyjnych a także finansowych, jak to miało miejsce w innych gminach naszego kraju. Niestety, muszę Państwa poinformować, że sytuacja lokalowa w oświacie jest bardzo trudna. Odczuwają to w pierwszej kolejności nasze dzieci, które muszą uczyć się w przepiętnych klasach czasami do późnych godzin wieczornych, nauczyciele, ponieważ muszą pracować w takich trudnych warunkach oraz rodzice, którzy przychodzą wieczorami pod szkołę po swoje pociechy.

Dałszy ciąg na str. 3

Najserdeczniejsze Życzenia
Czytelnikom
Głosu Karczewa
z okazji Świąt
Bożego Narodzenia
składa
Redakcja

Wolne sztandary

Był to smutny czas stanu wojennego w naszym kraju. Pewnego wieczoru siedzieliśmy w niedużym rodzinnym gronie z okazji imienin jednej z bliskich osób. Wiek uczestników tego skromnego spotkania był bardzo zróżnicowany, obejmował trzy pokolenia. Nastroj — wiadomo jaki, myśli były przygnębione, brutalnymi wydarzeniami zdławienia sierpniowego zrywu narodu. Lata ciągnęły się w beznadziejności — kiedyż znów zaświtają lepsze dni dla kraju, kiedy będzie to możliwe?

W pewnym momencie odezwałem się do trzech najmłodszych wiekiem: „Oto teraz jesteście razem — babcia, my około sześćdziesiątki i wy wchodzący dopiero w życie. Gdy wy doczekacie się wolności, pomyślcie o nas, że czekaliśmy jej długo, przez okres ostatniej wojny i przez niemal cztery dziesiątki obecnego terroru. Pomyślcie, że tęskniliśmy do wolnej Polski — i że się jej... nie doczekaliśmy...”

W maju 1985 roku leciałem w sprawach służbowych do Szczecina. Była bezchmurna pogoda i oświetlona porannym blaskiem ziemia wyglądała w dole urzekająco — świeża zielen pól i łąk, piękne niebieskie tafle jezior, jasne wstęgi dróg, maleńkie jak zabaweczki skupiska wsi i miasteczek. Wszystko to stanowiło cudowny, malowniczy obraz, przesuwający się filmowo w okienku samolotu. Zrobiło mi się... bardzo smutno, bo ten czarujący widok nie pasował do rzeczywistości tam, w dole: życia ludzi i losu tego kraju zgnębiętego od niemal pół wieku uciskiem. Moja myśl wróciła do lat dziecięcych i szkolnych, do tamtej Polski, którą miałem jeszcze szczęście widzieć przed najazdem hitlerowskim, widzieć rozumiejącymi już oczyma siedmiolatka — aż do lat trzynastu, gdy wybuchła ta nieszczęsna wojna...

Pod wpływem tych wspomnień wyjąłem z kieszeni pióro i notesik, a na papier przełaty się gorzkie słowa:

„Już odchodzą stąd,
na zawsze,
ludzie,
mający jeszcze w swoich oczach
obraz
Najdroższej,
Niepodległej.

Już i ja
nie będę mógł go długo nieść
pod powiekami, mokrymi od łez
wielkiej tęsknoty.

Przemienie jeszcze kilkadziesiąt lat,
a nie będzie tu już nikogo,
w kim nadal mogłaby trwać żywa
pamięć o tamtych dwudziestu latach
wolnego od kajdan
lotu Białego Orła
w jasną,
jak się zdawało,
przyszłość wieków.

Lecz nagle spadła wojenna noc,
potem obecny, długotrwały mrok
nowego
zniewolenia —

tak bardzo się przeciągający,
tak dotkliwie dręczący serce,
zaciskający duszę
pętlą
przemocy...

...Już odchodzą stąd,
na zawsze,
ludzie,
mający jeszcze w swoich oczach
obraz
Najdroższej,
Niepodległej.

Już i ja
nie będę mógł go długo nieść
pod powiekami, mokrymi od łez
wielkiej tęsknoty...

Biegły dalsze, smutne lata... Ale i lata walki o utrzymanie narodowej tożsamości, o zachowanie idei wolności i solidarności. W Karczewie także były odprowadzane nabożeństwa za Ojczyznę, nieraz z udziałem zaproszonych artystów ze stolicy.

W marcu 1986 roku przypadała 68 rocznica śmierci ks. Władysława Żaboklickiego, tak bardzo zasłużonego dla Karczewa. Poproszono mnie o przygotowanie tekstów do oprawy Mszy św. Napisałem je i osobiście odczytałem, a wśród nich był też następujący:

„Nie doczekałeś, księże Władysławie —
choć tak czekałeś
— niepodległych dni.
Tęskniłeś, śniłeś o Polsce na jawie,
jak się o Matki powrocie śni,
wychowywałeś starannie Jej dzieci
tutaj, w Karczewie,
w społecznym działaniu,
któreś tu pośród ludzi jasno wzniecił,
by podolałi przyszłości zadaniom.

Ty uczyniłeś w okresie niewoli
z Karczewian — wolnych już obywateli!
Tyś ich w publicznym życiu pilnie szkolił,
do wspólnych działań zachęcił,
ośmielił,
zorganizował w ochronie swych domów,
w krzewieniu wiedzy,
rozwoju kultury.
Nie pozwoliłeś też z młodych nikomu
być samym —

Domu tej parafii mury
tętniły życiem,
rozrywką
i wiedzą.

...Pótem widziałeś: Polska tuż,
za miedzą!
Wojna!
Z jej gromów błysnie znak wolności!

Nie doczekałeś...
Zabrakło
miesiący...

A tak pragnąłeś do niepodległości
wejść z tym, coś tutaj zgotował,
uświęcił,
z tym Twoim ludem Karczewskim,
oddanym, wiernym, świadomym, w dobrym
obyczaju,
do prac szlachetnych już przygotowanym
dla kraju.

Nie doczekałeś...
Ale Twoje ziarno
wrosło plonem już na wolnej glebie,
społeczną pracą, żarliwą, ofiarną,
a potem walką w wojennej potrzebie.

I trwa też pamięć serdeczna o Tobie,
są wspominki w Zaduszki na tacy.
I do dziś grają Ci pieśni przy grobie
wierni strażacy.

Nie doczekałeś Polski...

Ale znowu
przyjdą do Ciebie Twoje dawne hufce —
stowarzyszenia, wierne Twemu słowu,
organizacje, któreś w Swojej mrówczej
pracy założył —

przyjdą,
o Żaraniu,
gdy nad mogiłą już pierzchnie mrok szary,

i w wielkim hołdzie, serdecznym oddaniu,
przed Tobą
wolne pochylimy sztandary!...

Była to skromna uroczystość — Msza św. odprowadzała się w sobotni wieczór, a oprócz strażaków, zawsze pamiętających o swoim Założycielu, nie było żadnych delegacji społecznych, bo też żadne organizacje wówczas nie mogły istnieć. Ludzi w kościele było bardzo mało, raczej tylko starsi wiekiem...

Niedawno odbył się w naszym mieście obchód 72 rocznicy Odzyskania Niepodległości. Była to już kolejna w ostatnim czasie, piękna uroczystość z udziałem licznych pocztów sztandarowych miejscowych organizacji społecznych i Urzędu, wraz z przedstawicielami władz i samorządu, z odprawieniem Mszy św. za Ojczyznę, dekoracją krzyżami trzech uczestników wojny 1918-1920, złożeniem kwiatów na grobach w kwaterze żołnierskiej, przemarszem do Urzędu Miasta i Gminy i poświęceniem budynku, zawieszeniem krzyża na sali obrad oraz koncertem artystów Filharmonii im. Romualda Traugutta.

Jakże zmienił się świat i nasz kraj, że taka uroczystość jest już możliwa, że przywrócone zostało narodowe święto 11 listopada, że szły znowu ulicami miasta pocztły sztandarowe z godłami orła białego w koronie, że w pochodzie szedł Burmistrz Miasta, przedstawiciele władz i samorządu oraz liczna rzesza ludności! Jakże to wzruszające, że trzech naszych zasłużonych żołnierzy, walczących o niepodległość kraju i o jej zachowanie w 1920 roku, doczekało się wreszcie publicznego uznania w postaci cennych odznaczeń! Nie doczekało tej chwili bardzo wielu innych ówczesnych żołnierzy z naszego miasta i okolic, a także wielu innych zmarłych obywateli, wśród nich też babcia wspomnianych na wstępie wnuków-uczestników owego imieninowego wieczoru.

Na dawny obraz Polski Niepodległej, o której powstały w moim sercu przytoczone słowa pisane w samolocie, nakłada się obecnie obraz dzisiejszego odzyskiwania wolności! A jednak doczekałem — i żyjący jeszcze inni ludzie ze starszego pokolenia! Te obrazy jeszcze nie odpowiadają sobie w pełni, lecz przecież, jakże zasadniczo zmieniła się sytuacja w naszym kraju! Chociaż jest jeszcze wiele mankamentów, trudności i ograniczeń — to jednak choćby te nasze ostatnie uroczystości listopadowe świadczą o ogromnej przemianie, którą musimy utrwalić, udoskonalić, uszlachetnić!

Wiersz do ks. Władysława Żaboklickiego zakończyłem z wiarą i przekonaniem, że ta przemiana nastąpi. I dzięki łasce Najwyższego — tak się stało. Przytoczone wyżej moje myśli i uczucia były udziałem wielu z nas, tutaj więc do nich nawiązałem, aby odczuć wspólną radość z urzeczywistnienia się tego, co było już za naszego życia niemal nierealne, a jednak nastąpiło!

A zbliżającą się kolejną rocznicę — 73 rocznicę śmierci naszego zasłużonego Kapłana-społecznika — niechaj organizacje społeczne nad Jego cichym grobem „wolne pochyłą sztandary”!

Jan Baliński

Dalszy ciąg ze str. 1

W poprzednich latach rozpoczęto kilka bardzo poważnych inwestycji w oświacie, takich jak rozbudowa szkół podstawowych nr 1 i nr 2, budowa szkoły podstawowej w Glinkach, budowa dwóch przedszkoli — jedno na osiedlu „Czestochowska” drugie na osiedlu „Ługi” oraz budowa domu dla nauczycieli w Nadbrzeżu. Dziś jesteśmy w sytuacji takiej, że wszystkich inwestycji realizować jednocześnie nie mamy możliwości ze względu na ograniczone środki finansowe. Można tylko stwierdzić, że intencje były dobre, natomiast realizacja trudna w skutkach.

W dziedzinie służby zdrowia, jak Państwo wiecie, niektórzy zapewne byli już sami pacjentami. Przychodnia Zdrowia została uruchomiona w każdą sobotę, co w moim przekonaniu powinno poprawić opiekę zdrowotną w naszym społeczeństwie. Zostanie zatrudniony lekarz pediatra, a także czynimy starania aby wzmocnić ośrodek lekarzy internistów oraz innych specjalistów. Zakupiliśmy wreszcie, przy wielkiej pomocy finansowej naszego społeczeństwa aparat EKG. Samorząd czyni starania aby również przejść służbę zdrowia pod swój zarządek, co powinno tylko wyjść na zdrowie mieszkańcom miasta i gminy.

W sferze ochrony środowiska osiągnąć, w okresie sześciu miesięcy, szczególnych nie mamy. Wynika to i z tego, że ochrona środowiska obecnie wymaga olbrzymich nakładów finansowych, których nie posiadamy. Niemniej i tu, wbrew pozorom i trudnościom, coś się dzieje. Jest obecnie nadzieja, że rzeka Jagodzianka może być w roku przyszłym rzeczką dużo czystsza niż jest obecnie. Nie piszę szczegółów, gdyż rozmowy są w przedmiotowej sprawie dopiero rozpoczęte. Natomiast można więcej powiedzieć o ochronie powietrza, o toż uzyskaliśmy środki finansowe na projekty techniczne odsiarczania naszej ciepłowni, mamy już złożone oferty na zainstalowanie urządzeń odsiarczających, być może w roku przyszłym będziemy mieli już pierwsze odczuwalne efekty naszej działalności.

Rzemiosło karczewskie, które dotąd przynosiło budżetowi gminy blisko 90% dochodów, nie może się jakoś odnaleźć w nowej sytuacji gospodarczej kraju. Świadczy o tym efekt, że plan dochodów od rzemiosła wykonany zostanie w roku 1990 za ledwie w 50 procentach. Przewiduje się, że rok przyszły powinien być lepszy, ponieważ przygotowujemy dla naszego rzemiosła front robót, który pozwoli ruszyć z miejsca.

Należy się Państwu również kilka słów o reorganizacji administracji, o toż w naszym Urzędzie zmniejszyła się obsada personalna o około 20 osób, również przewidujemy reorganizację administracji w oświacie co pozwoli zaoszczędzić środki finansowe. Myślę, że reorganizacja wewnętrzna Urzędu przyczyniła się do lepszej obsługi Państwa.

Szanowni Państwo, nie o wszystkim powiedziałem w tym artykule nad czym pracuje samorząd, zarząd i ja jako burmistrz. Chciałbym tylko stwierdzić, że na pewno samorząd, zarząd i ja chcieliśmy zrobić dużo więcej dla mieszkańców, niestety ograniczone środki finansowe, które mieliśmy do dyspozycji, pozwoliły tylko na tyle. Na tym, że zrobiliśmy i robimy tylko tyle, czy może aż tyle, zaciążył również fakt, że zadłużenie Urzędu w chwili przejścia przeze mnie stanowiska wynosiło blisko 4 mld złotych. Chcę państwu powiedzieć, że w chwili gdy piszę ten artykuł, jest duże prawdopodobieństwo, że jako jedna z nielicznych gmin naszego województwa, możemy rok przyszły rozpocząć bez obciążeń z tytułu zadłużenia.

Pisząc ten artykuł miałem nadzieję, że w kilku słowach będę mógł Państwu powiedzieć o naszych zamierzeniach na rok przyszły. Niestety przedłużająca się debata sejmowa o dochodach gmin uniemożliwiła mi przedstawienie tych propozycji. Wiadomo już, że w nowej ustawie o dochodach gmin likwiduje się niektóre fundusze celowe, ponadto nie wiadomo w jaki sposób mają być naliczane subwencje dla poszczególnych gmin. Miejmy nadzieję, że rok przyszły będzie rokiem przełomowym dla gospodarki narodowej, a tym samym również dla naszej gminy.

Szanowni Państwo!

Korzystając z uprzejmości redakcji „Głosu Karczewa” oraz wiedząc, że będzie to ostatni numer w roku bieżącym, chciałbym z okazji Święta Bożego Narodzenia oraz Nowego 1991 Roku złożyć wszystkim mieszkańcom miasta i gminy a także osobom zatrudnionym w naszej gminie życzenia wszystkiego najlepszego i spełnienia wszystkich marzeń. Redakcji „Głosu Karczewa” życzę zaś, aby pismo, które wydaje, ukazywało się w roku przyszłym już jako miesięcznik.

MIROSLAW PSZONKA
Burmistrz Miasta i Gminy Karczew

Przyszł ci czas na mówienie prawdy

Historia różnymi chadza drogami, ale wcześniej czy później ujawniona, ukazuje poprzez dokumenty i opisy świadków wydarzeń na ile relacje o minionych latach były prawdziwe. Nowe świadectwa, nowe wypowiedzi weryfikują to, o czym często wiedzieliśmy, tylko w innej wersji, niekoniecznie prawdziwej.

O żołnierzach z Armii Krajowej, którzy działali na terenie Karczewa słyszałem wiele opowieści, ale będąc z natury sceptykiem w stosunku do zasłyszanych od różnych osób opowieści, które często były ze sobą sprzeczne, nie podejmowałem tego tematu na łamach naszego pisma.

Na temat działalności AK na terenie Karczewa mają prawo przecież pisać głównie osoby bezpośrednio związane z tą organiza-

cją. Drugi września nie był dniem spacerowym. Padał deszcz, wiał przenikliwy wiatr, w taki dzień niezbyt chętnie opuszcza się domowe zacisze. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św. Kościół wypełnił tłum wiernych, przed ołtarzem stanęły poczty sztandarowe szkół i organizacji społecznych. Była to wspaniała manifestacja wiary i patriotyzmu mieszkańców Karczewa. Podczas Mszy św. swoje wiersze, przepełnione miłością do Ojczyzny, deklamował Jan Baliński.

Po uroczystościach kościelnych, wszyscy zebrani udali się na miejscowy cmentarz, gdzie przy kwaterach żołnierskich apelem poległych, złożeniem kwiatów i patriotycznymi recytacjami wierszy Jana Balińskiego uroczystość została zakończona. Padający ciągle deszcz nie okazał się straszny, w takich chwilach ludzi łączy coś szczególnego, coś co każe



ć. osoby, które z bronią w ręku stawiały czynny opór okupantom. Dlatego też, ten artykuł jest tylko prologiem do zapisywania prawdziwej historii o żołnierzach AK z Karczewa, jego dalszą część mam nadzieję, pisać będą już sami świadkowie. Wspólnie siedząc przy jednym stole jeszcze raz wróć pamięcią do czasów wojny i okupacji i ukaż wszystkim za pośrednictwem naszej gazety tę, dotąd jeszcze nie dla wszystkich odkrytą kartę historii naszego miasta.

Początek został już uczyniony. Jeszcze w lipcu tego roku, a dokładnie 29.07.1990 w gmachu Urzędu Miasta i Gminy Karczew odbyło się zebranie organizacyjne powstającego w naszym mieście Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. W zebraniu, któremu przewodniczył Jan Baliński wzięli udział: Michałina Bielecka, Eugenia Trzaskowska, Stanisław Dąbrowski, Aleksander Kędziński, Marian Mącznyński, Michał Niedziółka, Ludwik Suchecki, Zygmunt Sychowicz, Ludwik Zembol, Walentyna Żelazko.

Pierwszym publicznym wystąpieniem nowo powstałego koła była uroczystość ku czci pamięci poległych w I i II wojnie światowej. Uroczystość miała miejsce 2 września.

zapomnieć o przemoczonych nogach. W chwili, gdy orkiestra zaczęła grać marsza żałobnego Szopena na niektórych twarzach zobaczyłem łzy, ale może to były tylko krople deszczu, przecież przez cały czas padało.

Ostatnim akcentem tego dnia było otwarte zebranie członków Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Na zebranie przybyli licznie zaproszeni goście z Burmistrzem Miasta i Gminy mgr. Mirosławem Pszonką, przedstawicielami Solidarności, Rady Miejskiej, Klubu Inteligencji Katolickiej. Spotkanie miało na celu przedstawienie zamierzeń na najbliższy okres jak również zaprezentowanie swojego już formalnego istnienia. Powstanie Koła SZŻAK wszyscy przyjęli z wielką radością jako zapowiedź utrwalania na terenie miasta i gminy prawdziwej historii o okresie wojny i okupacji. Przedstawiciel Głosu Karczewa, zaproszony na to spotkanie, otrzymał obietnicę, iż materiały opracowywane przez członków koła będą systematycznie przekazywane redakcji do opublikowania, za co w imieniu czytelników redakcja serdecznie dziękuje.

KRZYSZTOF KASPRZAK

Punkt wldzenia

Było to wiele lat temu. Wraz z grupą dziewcząt i chłopców wędrowałem wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Nasza wyprawa wyruszyła z Kołobrzegu, a celem jej miała być Jastrzębia Góra.

Po pierwszych dniach wędrowki byłem pewny, że wyprawa będzie udana. Młodzi ludzie, oddani pod moją opiekę, do czasu wyruszenia na szlak nie znali się, mieszkali w różnych miastach. Wspólna wólcęga pobrzedem Bałtyku stała się przyczyną ich spotkania. Przez dwa tygodnie skazani byli na wspólne dzielenie radości i trosk, skazani byli również na moją opiekę i na moje szalone pomysły, które nie miały ułatwiać życia, ale go uczyć.

Jeszcze przed podjęciem decyzji o poprowadzeniu tej grupy postawiłem organizatorom tej wakacyjnej wyprawy trzy warunki. Po pierwsze posiłki mieli przygotowywać w całości sami uczestnicy; po drugie — nie mieliśmy korzystać z noclegu w schroniskach, hotelach czy pod namiotem, jedyną formą noclegu miało być skorzystanie z gościny u ludzi, którzy zechcą przyjąć nas pod swój dach. Po trzecie — obóz miał być obozem dobrej woli, czyli przed podjęciem decyzji co do udziału w wędrowce, uczestnicy mieli poznać w pierw zasady obozu, a dopiero później zdecydować, czy chcą brać udział w takiej wyprawie.

Zaproście ich do stołu

Od Kołobrzegu do Łeby wszystko przebiegało wspaniale. Grupa była zgrana i bardzo wesola. Pokonywanie trudności sprawiało uczestnikom przyjemność. Wieczory spędzaliśmy przy ognisku z gitarą i piosenką, a często długo, długo w noc siedzieliśmy dyskutując na tematy związane z postawami ludzi, ich zachowaniami. Zadziwiali mnie często jasnością spojrzenia i trzeźwym, bardzo surowym osądem siebie i ludzi. A było nad czym dyskutować. Nie zawsze i nie wszędzie udzielano nam gościny. Zadziwiające było to, że im biedniejsze obejście, tym nocleg był pewniejszy. Po paru dniach, gdy pod wieczór szukaliśmy noclegu, nikt z nas nie próbował szczęścia w obejściach wyglądających dostojnie, zawsze jednak znaleźli się ludzie, którzy pomogli nam, wędrowcom.

Shczęście opuściło nas jednak po przybyciu na nocleg do Rąbka. Po ponad godzinnych poszukiwaniach okazało się, że nie możemy liczyć w tej miejscowości na gościnę. W żadnym gospodarstwie nie chciano nam, nawet za opłatą, pozwolić na przygotowanie posiłku, odmówiono nawet gorącej wody na herbatę. Jedna z dziewcząt czuła się tego

dnia źle, miała stan podgorączkowy, a pogoda pogarszała się z godziny na godzinę. Ale nawet dla niej nie można było zdobyć miejsca pod dachem. Zdecydowaliśmy wspólnie, że idziemy dalej, do Łeby, oddalonej o około cztery kilometry. Gdy dochodziliśmy do miasta, zaczął padać deszcz, wiał silny wiatr od morza. Łeba jednak okazała się równie niegościnna jak Rąbek.

Noc spędziliśmy na świeżym powietrzu. Chłopcy znaleźli poza miastem rozłożyste drzewo, z płaszczy od deszczu zrobili zadaszenie rozpinając je na tykach przygotowanych naprędce. Wszystkie swetry posłużyły do okrycia chorej dziewczyny, która siedząc w środku utworzonego z nas kręgu zasłonięta była w miarę możliwości przed wiatrem. Do rana nikt nie zmrzył oka. Była to pierwsza i ostatnia noc, podczas której milczeliśmy. Dopiero nad ranem, jeden z najweselszych chłopców w grupie, który zawsze potrafił przy pomocy swojej gitary wszystkich pogodzić, nie patrząc na nas powiedział: — Jakże to smutne. Przecież ci wszyscy ludzie, do których pukaliśmy, przygotowując wieczór wigilijny zostawiają wolne miejsce przy stole dla przypadkowego i nieoczekiwanego gościa. Ciekawy jestem, jakby się zachowali, gdyby taki gość przy-

szedł trochę. Upłynęło przecież parę lat od naszej wędrowki brzegiem Bałtyku. Ale chyba po piegach powinien pan poznać. Tylko jeden był piegus.

— Piotrek! — Piotrek z Wrocławia! — Zgadza się? — zawołałem.

— Ma pan dobrą pamięć, ale nie z Wrocławia tylko z Poznania. Jesteśmy tutaj razem z Markiem. Pamięta pan Marka?

— Oczywiście! — Jego chyba najbardziej z całej waszej grupy zapamiętałem.

— Nie dziwię się. Był najlepszym gitarzystą, a przy tym, nie wiem jak pan, ale ja do dziś pamiętam to, co powiedział wtedy w Łebie, gdy jak zmarnięte wróble siedzieliśmy pod drzewem przez całą noc.

— Pamiętam, pamiętam każde jego słowo. Był to dla nas wszystkich bardzo pouczający poranek. Ale co robicie w Warszawie? Gdzie jest Marek?

— Widzi pan, Marek tak jak i ja pochodzi z Poznania. Ta Łeba bardzo utkwiała nam w pamięci. Coś się w nas zmieniło. Jeszcze tego samego roku udało nam się namówić naszych rodziców, aby na święta Bożego Narodzenia zaprosić przynajmniej małą grupkę dzieci z Domu Dziecka. U nas było dwóch maluchów, rodzeństwo. Rodzice Marka zaprosili całą piątkę. Od tamtej pory przez te wszystkie lata jesteśmy, jakby to powiedzieć, na etacie społecznych wujków. Teraz też przyjechalibyśmy z dziećmi do wycieczki. Marek poszedł z nimi do Zamku Królewskiego.

— Pomyśl jednak, ile jeszcze jest wolnych miejsc przy wigilijnych stołach, które zawsze pozostają puste, bo sami goście nie wierzą już, że dla nich drzwi będą otwarte. Goście, chociaż jest ich coraz więcej będą bali się zapukać.

— Wiem, proszę pana, że są tacy, co już nie wierzą w ludzkie serce, co zawiedli się. My jednak przecież po Łebie mieliśmy Białogórę. Myślę, że trzeba wierzyć w dobro na świecie. Niech pan patrzy, Marek już wraca z naszymi malcami.

Od Świętojańskiej szedł otoczony gromadką dzieci wysoki mężczyzna o wesolej, prawie dziecięcej twarzy. Przez plecy przewieszoną miał gitarę. Dzieci jak te wróble skakały dookoła mówiąc coś jednoznacznie. Z jego twarzy można było łatwo wyczytać, jak bardzo jest szczęśliwy.

Teraz, gdy zastanawiałem się, o czym napisać do świątecznego numeru, przypominałem sobie jeszcze raz to odległe zdarzenie z Łeby i tegoroczne spotkanie z Piotrkim i Markiem. Tak wiele przecież jest osób w wędrowce przez życie, które przy stole w wigilijny wieczór zasiadają samotnie, przełamując się opłatkiem same z sobą i wtedy, gdy w innych mieszkaniach panować będzie radość, one zapłaczą nad własną samotnością. Gdy jednak zastukają do naszych drzwi, przyjmijmy ich serdecznie, dla nich to przecież zostawiamy przy stole wolne miejsce, a gdyby się obawiali naszej niechęci — pójźmy i zaprosimy ich do stołu.

KRZYSZTOF KASPRZAK

Fraszki

Eugeniusz Szulborski, który w tym numerze „Głosu Karczewa” prezentuje naszym czytelnikom swoje nowe fraszki jest poetą, prozaikiem i organizatorem nieprofesjonalnego ruchu literackiego na białostockim. Mieszka i pracuje w Białymstoku. Jest stałym czytelnikiem naszego pisma.

O POLSCE

*Myśleli, że poległa
a Ona Niepodległa.*

O PEWNYCH IDEOLOGACH

*Narobili smrodu
i twierdzą:
— Dla dobra Narodu —*

DO CIEŚLI

*Jeśli zgniła podwalina,
nie podbijaj pod nią klina.*

*Nie jest proste zbieranie
skoro nie sadzono.
Zasiatem niechający
i jest oto Ono —*

O SŁUŻBIŚCIE

*Pewnemu słuźbiście zarzucano,
że przerabia trawę na siano.
Wybrał więc taktkę nową:
ze słomy wyrabia słowo.*

*Rozpanoszyły się w cukrze
mrówki faraona.
Cóż z tego, że faraonki —
każda z nich czerwona.*

EUGENIUSZ SZULBORSKI

Dzień Niepodległości w Karczewie

▼ Poświęcenie sztandaru Rady Miejskiej



Tegoroczne obchody święta 11 Listopada miały w Karczewie szczególnie uroczysty charakter. Mieszkańcy miasta i gminy spotkali się na mszy świętej w intencji Ojczyzny, o godzinie 12.30 w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Wita. Ksiądz proboszcz Sylwester Sienkiewicz wygłosił podniosłe kazanie, po czym poświęcił sztandar Rady Miejskiej oraz krzyż ofiarowany przez radnego Zdzisława Laskusa. Obecni byli radni oraz zarząd Miasta z przewodniczącym Rady Włodzimierzem Budkowskim i burmistrzem Mirosławem Pszonką.

Uroczystość uświetniła obecność pocztów sztandarowych i przedstawicieli organizacji kombatanek AK, Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, PSL, LKS Mazur, Ochotniczej Straży Pożarnej, ZHP i innych. Oczywiście nie mogło się obyć bez orkiestry OSP pod kierunkiem pana Pijanowskiego. Specjalnie na tę okazję napisany wiersz wygłosił autor i jeden z organizatorów uroczystości pan Jan Baliński. Tuż po zakończeniu mszy św. miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie: dekoracja Krzyżem Za Udział W Wojnie 1918-1921 trzech naszych współobywateli, mieszkańca wsi Ostrówiec pana Zygmunta Andrzejewskiego, mieszkańca Karczewa pana Józefa Majewskiego oraz wieloletniego proboszcza naszej parafii księdza doktora Edwarda Święckiego. Po siedemdziesięciu dwu latach ostatni pozostali przy życiu ochotnicy do tworzącej się armii polskiej w 1918 roku, zostali uhonorowani przez

Sejm i prezydenta R. P. oraz podniesieni do rangi podporuczników. Dekoracji dokonał burmistrz przy udziale pana pułkownika Króla.

Nie wszyscy, zwłaszcza młodzi, mieszkańcy naszego miasta pamiętają, że ulica Ochotników jest właśnie wyrazem pamięci, jaki w latach II Rzeczypospolitej złożyli kilkudziesięciu ochotnikom współmieszkańcy.

Po mszy i dekoracji uformował się pochód, który ruszył na cmentarz, aby tam złożyć kwiaty przed pomnikiem poległych. W drodze powrotnej kwiaty złożono przed pomnikiem na Rynku i wszyscy udali się do budynku Urzędu Miasta, gdzie w sali konferencyjnej miały przebieg dalsze uroczystości. Przez cały czas zgromadzeni byli licznie mieszkańcy, biorąc udział w poświęceniu gmachu Urzędu i zawieszeniu krzyża. Następnie odbył się koncert, najpierw w wykonaniu naszej orkiestry OSP, gorąco okłaskiwanej przez publiczność a później artystów warszawskich z Filharmonii im. R. Traugutta, którzy przedstawili program złożony z pieśni patriotycznych i wojskowych dwudziestolecia. Tak bardzo spodobał się im, że burmistrz Mirosław Pszonka zaprosił zespół do Karczewa na uroczystą kolację wigilijną dla seniorów w dniu 16.12.1990. Mamy nadzieję, że to nie ostatnia tak budująca impreza w życiu naszego miasta i gminy.

RYSZARD MAJEWSKI

Delezy ciąg na str. 6, 7



Poświęcenie krzyża, który zawieszono w Urzędzie Miasta

Dzień Niepodległości w Karczewie

Dok.
ze str. 5



1. Ochotnicy w walce o niepodległość: Zygmunt Andrzejewski, Józef Majewski, ks. dr Edward Święcki, tuż przed dekoracją i nominacją na stopnie oficerskie

2. Mieszkańcy miasta i gminy przed cmentarzem, podczas składania kwiatów

3. Kwiaty od organizacji społecznych

4. Zdzisław Laskus, radny i fundator krzyża, zawiesza krzyż i okolicznościową tablicę w sali konferencyjnej Urzędu miejskiego

5. Poświęcenie gabinetu burmistrza

6. Jak zawsze niezawodna orkiestra OSP

7. Uroczystość uświetnił koncert artystów Filharmonii im. Traugutta

8. Podczas koncertu



2

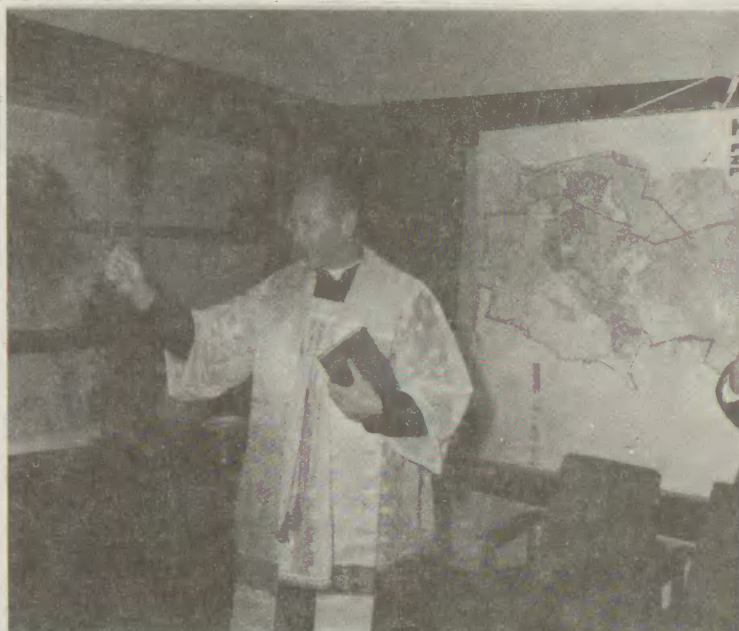
3



Zdjęcia:
Dariusz
Broniszewski



4



5



6

7

8



Korespondencja własna z Chicago

Karczewianie w USA

Ich losy są typowe dla polskich losów w Stanach w ogóle. Jak podobne są ludzkie motywacje, by emigrować. Przyciąga mit łatwego życia, dużych pieniędzy. Żanim dostąpi się tego życia, trzeba zazwyczaj przejść cierniową drogę pracy „na czarno”, bylejakiego mieszkania w wilgotnych suterrenach, zaciskania pasa, zdobywania „zielonej karty”. Nierzadko ceną są upokorzenia, utrata pozycji zawodowej, rozbiście rodziny, osłabienie więzi z krajem. Oczywiście nie zawsze tak jest.

Czy mit wielkiej Ameryki potwierdził się w oczach naszych krajan? O to właśnie pytałam moich rozmówców z Chicago, Nowego Jorku, New Jersey i Florydy. Lata pobytu za granicą zatarły pamięć pierwszych wrażeń. Nie wszyscy zastanawiali się nad tym kiedykolwiek przedtem, bo w gruncie rzeczy jest to przecież próba sporządzenia jakiegoś bilansu życiowego.

Niektórzy starali się wypaść jak najlepiej w tym rozrachunku, więc małowali coś na kształt pocztówki z dalekich wysp szczęśliwości. Ale byli i tacy, którzy nie ukrywali trudności.

Niewielu spośród karczewian знаło na tyle dobrze Amerykę, aby — jak **Antoni Trzaskowski** z Nowego Jorku — podjąć decyzję o emigracji z pełną świadomością tego, jak wygląda amerykańska rzeczywistość i amerykański sposób życia. Jako zawodnik „Legii”

niejednokrotnie przyjeżdżał wcześniej do Stanów, by osiąść w nich na stałe w 1981 roku.

Nadal gra i trenuje w drużynie Polonia Greenpoint w Brooklynie. Brał też niedawno udział w I polonijnych mistrzostwach świata drużyn piłkarskich, które odbyły się w Polsce. Notabene, gra w drużynie z własnym synem. Synowie są jego prawdziwą chlubą. Młodszy zdał do czwartej klasy szkoły średniej, a starszy dostał się na renomowany uniwersytet Columbia. Chłopcy wrosli już w amerykańską glebę. Znają polski, ale równie dobrze, jeśli nie lepiej, poruszają się w angielskim. Pan Antoni podkreśla, że musi zapewnić synom dobry start życiowy.

Jest otwarty, życzliwy. Utrzymuje kontakty z krajem i ciepło wyraża się o Polsce. Jest jednym z nielicznych, którzy uprawiają lub nie stracili kontaktu z zawodem wykonywanym w Polsce. Bez wątpienia to wielki sukces.

Inaczej wyglądał amerykański start **Jana Kaczora**. Przyjechał do Mekki nowojorskiej Polonii na Greenpoint. Było to trzynastego kwietnia, w Wielki Piątek. I rzeczywiście, magia tego dnia i tej liczby zadziałała. Wpadł pod zimny prysznic. Zamiast wielkiej firmy budowlanej wujka, w której brał trudni będzie można dostać pracę, jak go zapewniał kumpel, zastał wujka we własnej osobie i zwykłą ciężarówkę. To była cała firma.

Przyjechał, jak mówi, „na żarty”, bez zamiaru pozostania na zawsze. Początki były bardzo trudne. W Polsce inżynier po politechnice, tu miał się różnych, słabo płatnych prac. Potem przez dłuższy czas pracował jako operator maszyn. Ożenił się w Stanach z Polką, z Otwocka zresztą. Zwolna jego sytuacja materialna zaczęła się poprawiać. Kupili z żoną dom i zmienił pracę, żeby nie dojeżdżać. Po roku został zwolniony i pozostawał jakiś czas na zasiłku dla bezrobotnych.

Wykorzystał dobrze ten czas na naukę. Podciągnął się w angielskim na tyle dobrze, że nowa praca przyszła do niego sama. Skończył też kurs dla agentów nieruchomości. Obecnie pracuje w dziale badawczo-rozwojowym firmy produkującej maszyny, które służą do produkcji nakrętek stosowanych w lotnictwie. Jest to już praca zbliżona do tej, którą wykonywał w kraju i która daje mu dużo zadowolenia. Mając dwa domy i dobrą pracę, pan Jan może sobie pozwolić na swobodniejsze życie — wakacje na Hawajach i mniejszą ilość pracy. Okres forsownego dorabiania się przytłoczył jednak lekkim zawalem serca.

Choć nie ma wśród Polaków w USA jedności i choć napatrzył się na waśnie i zawiści, sam jest z natury uczynny i pomaga, komu i jak może. Niejednego przywiózł z lotniska, przenocował, pomógł w pierwszych krokach. W jego domu ciągły ruch. Odwiedza go rodzina, przewijają się goście. Od organizacji polonijnych trzyma się z daleka, bo nie oferują niczego interesującego. Odwiedził Polskę po raz pierwszy po 7-8 latach, a w sumie był w kraju już trzy razy.

Pan Jan może spokojnie patrzeć w swoją amerykańską przyszłość. Ameryka została dla niego odkryta. Jest przyjazny dla ludzi z Polski, choć nie bezkrytycznie wobec ich postaw. Razi go szczególnie zawiść rodaków, choć na zdrowy rozum powinni się przecież wspierać. Nie sposób nie zgodzić się z panem Janem. Jego sposób myślenia i szczerość zyskują mu z miejsca moją sympatię.

Urszula Strużyk z Chicago jest już w Stanach dziewięć lat. Mąż przyjechał tu pierwszy, a ona zjechała do niego po trzech latach. Praktycznie nie pracowała, zajmując się

Msza po amerykańsku

Nastawiłam się, że nie będzie to zwykła msza. Znajomi, którzy mnie przywieźli do tej uniwersyteckiej kaplicy w Evanston, na przedmieściu Chicago, ostrzegli mnie, że jest to bardzo „liberalny” kościół katolicki. Mimo to przeżyłam prawdziwy szok.

Kaplica nie przypominała w niczym świątyni, z wyjątkiem słabo odcinającego się od tła krzyża w marmurowej ścianie za stołem mszalnym, i owego stołu. Przypominała salę wykładową lub koncertową z amfiteatralnie schodzącymi w dół ławkami i podłogą szczególnie wyszczelnioną szarawo-błękitną wykładziną dywanową. Z perspektywy kilku dni, jakie upłynęły od tej niedzieli, pomyślałam, że może i była to kiedyś sala wykładowa; ale wówczas, gdy tylko tam weszłam, usilnie szukałam nastroju świątyni i detali, które by ją od wewnątrz budowały. Bez skutku.

Jeszcze msza się nie zaczęła, a już zdążyłam potwornie zmarnąć. Upał na zewnątrz był nie do zniesienia, tu zaś przesadzili z klimatyzacją. Siedziałam w pierwszym rzędzie, jako że mój znajomy miał być lektorem w czasie tej mszy, i przyglądałam się chórkowi, który ustawiał się skromnie z boku stołu mszalnego przy pianinie. Powoli schodzili się ludzie. Nikt nie przyklęknął wchodząc, nikt się nie przeżegnał. Nieliczne dzieci już

wkrótce zabrały się za kolorowanie książeczek, picie soczków przez słomkę i jedzenie batoników.

Wszedł ksiądz ubrany w białą szatę z pastelowym paskiem stuły na szyi. Wszyscy powstali. Ksiądz powiedział „Dzień dobry”, na co otrzymał choralną odpowiedź. Kolejne jego słowa były zachętą do wzajemnego poznania się. Nastąpiły liczne uściski dłoni, wymiana imion i nazwisk. Ksiądz obszedł najbliższe rzędy, ściskając dłonie.

Zaczęła się msza. Liturgia przebiegała podobnie. Ale nie całkiem. Kazanie księdz przerywał wybuchy śmiechu. Widać opowiadał coś śmiesznego. Niestety, nie rozumiałam. Moi znajomi powiedzieli, że John (bo tak zwracają się do księdzę czyli po imieniu) mówi bardzo niewyraźnie i oni sami mają kłopoty, by go zrozumieć. W każdym razie wyjaśnili mi potem, że za pierwszym razem śmiali się, gdy im powiedział, że będą mieli odpuszczone dwa razy więcej grzechów niż zwykle za przybycie tego dnia do kościoła. Chodziło o to, że wszystkie drogi w pobliżu kaplicy były wyłączone z ruchu kołowego, bo młodzież urządziła sobie sportową niedzielę na rolko-tyżwach i trudno się było tam dostać. Notabene, po mszy poprosiłam Johna, czy mógł nagrać jego kazanie na taś-

mę następnym razem, aby je dobrze zrozumieć, na co wyraził zgodę.

Nastąpiła chwila komunii. Za stołem, po obu stronach księdz stało kilkoro ludzi. Wzięli od księdzę chleb, a może to było ciasto, przełamali na kawałki. Inni wzięli pułcharki z winem mszalnym. Stanęli przed stołem i zaczęli udzielać komunii. Wkładali ludziom po kawałeczku chleba w nadstawioną dłoń, z której sami wierni wkładali go sobie do ust. Niektórzy popijali go winem. Nie było nikogo, prócz mnie, kto by nie przyjął komunii. Nie byłam przecież u spowiedzi. Potem się okazało, że oni też nie. Ksiądz siedział na ławce. Po amerykańsku założył wysoko nogę na nogę i „świecił” sportowym obuwiem. Na jego rękę przesuwali się złote łańcuszki. Na moją „konserwatywną” głowę było tego trochę za dużo. Zrezygnowana — zaczęłam się już tylko przyglądać.

Patrzyłam na ludzi. Nie składali rąk, nie przybierali dostojnych póz. Byli jednak skupieni i jednogłośnie odmawiali modlitwy i śpiewali pieśni. Msza dobiegała końca. Po błogostawieństwie wszyscy wyszli jak przyszli — nikt nie uklęknął i nie zmówił modlitwy na odchodne. Nie było żadnego klękania w ciągu całej mszy.

Jak się spodziewałam, nikt nie poszedł od razu do domu, lecz wszyscy skupili się w przestronnym, ale dusznym, bo już pozbawionym klimatyzacji, hału. Tu rozpoczęła się towarzyska kontynuacja mszy. To tu rozmawiałam z Johnem, który błyskawicznie zdążył wrócić do normalnego, świeckiego ubrania. Wcześniej dowiedziałam się, że jest profesorem teologii na uniwersytecie. Moi znajomi wymienili swoje „Halo” i „Co słychać” z różnymi przyjaciółmi, jednocześnie mnie przedstawiając.

Nie mogłam ochnąć z wrażenia. Gdy

wychowaniem dwojga dzieci. Od czasu przyjazdu do Stanów byli dwa razy w Polsce. Rodzina pani Urszuli pochodzi z Otwocka, więc jej związki z Karczewem zdają się rozluźniać.

Pani Urszula podkreśla, że choć Ameryka jest wolnym krajem, to nie wszyscy mogą z tej wolności prawdziwie korzystać. Jej owoce smakują tym, którzy mają wysokie dochody i odpowiednią pozycję społeczną, o co jak wiadomo niełatwo.

Na Florydzie mieszka z całą rodziną Wiesław Niedziółka, który przybył do Stanów na fali „jaruzelowo-przedwojennej” emigracji. Od tamtego czasu jeszcze w kraju nie był. Słyszał jednak, że Polacy w kraju powoli zaczynają szanować pracę. On sam od trzech lat opiekuje się starszym małżeństwem. Przedtem mieszkał w Chicago. Ma jedną córkę, która zdała do ósmej klasy. Posyła ją do polskiej szkoły również. Unika Polaków, bo roznoszą niepotrzebne plotki. Poza tym, pogoń za pieniędzmi przesłania im oczy. Nie chcą normalnie tu żyć, tylko przyjeżdżają dorobić się, by potem w Polsce „różnąć milionera”. Choć pan Wiesław uprzejmie odpowiada na moje pytania, wyczuwam w jego głosie ulgę, gdy nasza rozmowa dobiega końca.

Znacznie krócej niż pozostali karczewianie jest w Stanach Danuta Bielecka z Long Island. Mieszka tu od trzech lat. Ona ciągle boryka się jeszcze z problemami pierwszego okresu, kiedy trzeba włożyć wiele wysiłku, by zaadaptować się do nowych warunków. Nie ukrywa trudności. Praca i pobyt w Stanach nie jest taki łatwy, jak się ludziom w Polsce wydaje. Początkowo pracowała po dwanaście godzin na dobę. Największym problemem jest jednak bariera językowa (o czym mówi niemal każdy, z kim rozmawiam). Znacznie bardziej by jej się tu podobało, gdyby знаła angielski. Obecnie oboje z nowym mężem pracują na zmiany, aby również na zmianę opiekować się dzieckiem.

Jak wiele innych osób, pani Danuta podkreśla, że my Polacy byliśmy przyzwyczajeni do chodzenia do pracy, natomiast tutaj się faktycznie pracuje. Ale jest i zapłata za to, dodaje. Podoba jej się też to, że można

tu pracować, ile się chce i nikt nikomu nie zabierze, jeśli tylko płaci się podatki. Ma niepochlebne zdanie o Polakach jako pracodawcach. Amerykanie, u których pracuje, są znacznie życzliwsi.

Niechętny stosunek do polonii amerykańskiej ma żona pana Eugeniusza Osucha z Chicago. Również wyraźne pragnienie odcięcia się od kraju, a może tylko od znajomych, sprawiło, że nie wyraziła zgody na rozmowę dla naszej gazety. Również w imieniu swego męża.

Anna Żelazo z Evanston (przedmieście Chicago) jest już w Stanach trzy lata. Chce jednak wracać, bo nie ma możliwości uzyskania „zielonej karty”.

O powrocie myśli też Helena Kamińska z Nowego Jorku, która przebywa tu od trzech lat. Pani Helena mówi, że życie w Stanach nie jest takie proste, jak się w kraju ludziom zdaje. Za darmo nie dostanie się ani dolara. Szanse mają, według niej, ludzie młodzi, znający język, którzy chcą się uczyć. Ważnym elementem powodzenia w Stanach jest też zwykły łut szczęścia.

Czy stali rezydenci Stanów Zjednoczonych Ameryki z Karczewa tworzą jakąś sieć? Utrzymują ze sobą kontakt? Niestety, nie. Niektórzy nie wiedzą o sobie wzajemnie. O wszystkich natomiast wie Józef Broniszewski od dwóch lat przebywający z żoną w Chicago. Prawdziwy „spiritus movens”, próbował ich raz zebrać i wystąpił z inicjatywą zbiórki pieniędzy na jakiś żożny cel, ale bez większego powodzenia. Dzwonił do wszystkich z życzeniami na Boże Narodzenie, by w rok później dostać w rewanżu od nich kartkę świąteczną. I na tym się skończyło. „Oni nawet są chętni” — mówi żona Urszula — „ale nie podejmują działania. Trudno wymagać, aby ciągle tylko mój mąż wydzwaniał”.

Niby tak. Tymczasem każdy pewnie liczy się z groszem. I może nie każdy odczuwa potrzebę. Bo czemużby geografia miała dyktować takie działania. Ale gdy nad tym głębiej się zastanowić, to jednak szkoda... Nieprawdaż?

wreszcie wyszliśmy na dwór, podzieliłam się swoimi uwagami z moimi przyjaciółmi. W Polsce komunizm bez spowiedzi byłaby uważana za grzech. „To tylko etniczna, polska odmiana” — odrzekli. „Czyżby? A Włochy, a Hiszpania?” — „Tam również nie ma tego obowiązku.” — dodali. „My lubimy ten kościół, bo ludzie, którzy tu przychodzą tworzą wspaniałą społeczność, coś na kształt rodziny. Znamy się z nimi i spotykamy na gruncie towarzyskim. Wywodzą się głównie z kręgów akademickich. Ale zdajemy sobie sprawę, że jest to bardzo liberalny kościół, nawet na warunki amerykańskie. Ale taki nam właśnie odpowiada.”

Istotnie, wkrótce byłam w dwóch innych kościołach rzymsko-katolickich w okolicy. Wszystko już było bliższe temu, co znamy w kraju. Msza w kościele św. Hiacynta w Chicago — głównym kościele skupiającym tutaj Polonię — w niczym prawie nie odbiegała od mszy w Polsce. Odprawiono ją po polsku. Drugi kościół, na przedmieściu Winnetka, jeszcze oferował „dzień dobry” na powitanie. Tamtejszy ksiądz zęgnął się z wiernymi dziękując im za służbę i pracę (sic!). W obu kościołach podtykano wiernym pod brodę druciane kosze na długich drągach. Ale wszystko było już o wiele bardziej zwyczajne i znane.

Amerykanie, z którymi potem rozmawiałam o swoim doświadczeniu w Evanston i Winnetka, mówili: Bóg nie musi być poważny, uroczysty i smutny. Oczywiście, że nie musi. A szczególnie amerykański Bóg nie musi, bo tacy są właśnie Amerykanie — otwarci, radosni, pełni optymizmu. To oni przecież wymyślili „Keep smiling” czyli „uśmiechnij się”. Ale czy to znaczy, że nie traktują swojej wiary poważnie?

Nas, Polaków, może razić familiarna atmosfera amerykańskiego kościoła w Evanston, ale w gruncie rzeczy kształt kościoła w danej społeczności jest pochodną stylu życia tej społeczności. Może mi nie odpowiadać taki kościół, ale czy ludzie, którzy chodzą do niego, nie mają prawa do takiego właśnie kościoła? Czy wierzą przez to w Boga mniej? Oczywiście nie sposób nie zadać pytania o granice tolerancji, poza którymi znikają rozpoznawalne, wspólne wyznaczniki danego obrządku. Nie sposób też zapomnieć o przemożnym wpływie historii społeczeństw na kształtowanie się oblicza współczesnego kościoła katolickiego w różnych krajach. Społeczeństwo amerykańskie od początku swego istnienia miało „wbudowaną” tolerancję na obcość, inność i różnorodność, bo samo było i jest tygłem narodów. Społeczeństwo polskie charakteryzowało się silną identyfikacją z jednym obrządkiem, z katolicyzmem, dzięki czemu przetrwało jako naród dziejowe próby zagłady. Nie znaczy to jednak, że nie może być społeczeństwem otwartym — szczególnie w czasach, gdy rozpoczyna się proces jednoczenia Europy.

Cóż oznacza owa otwartość w kontekście, o którym tu mowa? Wcale nie chodzi o przejmowanie obcych wzorów. Chodzi o pozbycie się owego „odruchu wymiotnego”, jaki działa w sytuacji zetknięcia się z innymi sposobami zachowań kulturowych. Chodzi o zaakceptowanie możliwości dokonywania przez ludzi innych wyborów, nawet jeśli to nie są nasze wybory, jeśli nie są zgodne z naszym rozumieniem spraw, z naszą hierarchią wartości, z naszymi przyzwyczajeniami. Bo każdy ma prawo do swojego życia, a niektórzy twierdzą, że i do własnej śmierci.

LILIAN WYSOCKA

Oni też mogą zobaczyć pierwszą gwiazdkę...

Pięcioletnia Anetka ma chore stawy rąk i nóg. Porusza się po mieszkaniu na wózku inwalidzkim. Trzecioklasista Jacek złamał nogę, jest w gipsie i leży w łóżku. Emilka, uczennica klasy zerowej, ma niedowładną rękę i nogę po mózgowym porażeniu dziecięcym. Grzegorz, uczeń ósmej klasy, do którego przychodzi nauczyciel domowy, ma zmiażdżone kości w kościach kręgosłupa, spowodowały te zmiany paraliż kończyn dolnych. Porusza się za pomocą wózka inwalidzkiego.

Przed świętami tyle pracy: gruntowne porządki w mieszkaniu, przygotowanie potraw wigilijnych i świątecznych, bielizny stołowej, odzieży i bucików, żeby wszystko i wszyscy byli uroczyści i odświętni a każdy szczegół, każde miejsce w domu przyciągało oczy swoim pięknym wyglądem. I Boże drzewko, choinka — domowe cacko — symbol narodzonego Dzieciątka.

Gdy nadejdzie wigilijny wieczór, dobrze znane, domowe kąty urokliwie rozjaśnia światła ze sztucznego Bożego Drzewka a zapach gałązek jedliny położonych koło opłatka z chlebem na wigilijnym stole nas ogarnie (z choinki żywej od dawna zrezygnowaliśmy; niechaj rośnie na chwałę Panu, na pożytek ludziom i leśnym mieszkańcom, niechaj staje się pięknym wielkim drzewem, cieśzącym oczy i przynoszącym ulgę naszym płucom i sercu), pocujemy się tą osobliwą wspólnotą, w której mali i duzi, zdrowi i chorzy mają swój udział.

Pozwólmy czynnie naszym dzieciom przeżywać domowe przygotowania do uroczystości obchodzonych na pamięć ziemskich narodzin Pana. Pozwólmy wykonywać te zwyczajne i odświętne prace Anetce, Jackowi, Emilce i Grzegorzowi. Oni bowiem mają największą potrzebę ruchu i przydatności w ważnych domowych pracach.

Zastanówmy się wspólnie z naszymi zdro-

wymi i chorymi dziećmi, mniej sprawnymi dziećmi, w czym te ostatnie także mogłyby nas wyręczyć, jakie prace najchętniej wykonałyby. Sporządźmy listę tych prac i plan wykonania — i co najważniejsze — miejmy cierpliwość, gdy Anetka moźolnie i krzywo będzie ciąć bibułki na choinkowe cacka, a Emilka długo zbierać koraliki, które się jej rozspływały po podłodze podczas nawlekania, a Grzegorz prasując ukrochmalony lina-ny obrus pozalamuje go. Jackowi pozwólmy podnieść się z łóżka, kiedy mimo gipsowego ciężaru zapragnie pościerać kurze i uładzić różne przedmioty w domu, chociaż jego zadaniem było wyćwiczyć kilka kołód na flecie i już je opanował, by gdy nadejdzie ten dzień rodzinnego świętowania ponownych Pańskich narodzin i nasze chore dzieci miały swój czynny w nim udział, czuły się współtwórcami świątecznej wspólnoty z okazji tej radosnej uroczystości. I jeżeli nie będzie zbyt zimno, Anetkę, Emilkę i Grzegorza zabierzmy na pasterkę. A może i Jacek się wybierze?

Niechaj uroczystość obchodzona na pamięć największego wydarzenia w życiu ludzkości — przyjścia na świat Boga, którą świętujemy w naszych rodzinach, wspólnotach, w krajach i na całych kontynentach pozwoli godnie, to znaczy czynnie przeżyć przygotowania naszym chorym i kalekim dzieciom. Pan przyszedł głównie po to, by takich ludzi jak oni pocieszyć.

MARIA ZIĘCINA-BANEK

Zabobony i przesady nie tylko ludowe

Co kraj to obyczaj, co człowiek to inne przyzwyczajenia, wyobrażenia, to przynależność do pewnych reguł, które mają wpływ na postępowanie, ale choć się zmieniają, to jednak zawsze były, są i będą towarzyszyły w naszej wędrówce przez życie. Chcemy, czy nie chcemy, wierzymy w ich skuteczność, czy nie wierzymy, śmiejemy się z nich, czy traktujemy poważnie, to zawsze zabobony i przesady miały wpływ na niektóre postępowania człowieka.

Zaczyna się to już od okresu szkolnego. Od jednej z uczennic dowiedziałem się, że przed klasówką należy spać w skarpetach i pod żadnym pozorem nie wolno ich rano zdejmować z nóg. Idąc do szkoły w tych samych skarpetach, w których się spało uczeń zapewnia sobie sukces na klasówce, bo wiedza, która jest w głowie, ucieka przez nogi, a skarpety przed tym chronią. Szkoda tylko, że nie wiedziałem o tym, gdy sam chodziłem do szkoły. Inne szkolne przesady, oczywiście nie licząc wkładania książki pod poduszkę na noc, czy wchodzenia do szkoły tyłem, to drapanie się za lewym uchem w chwili, gdy nauczyciel zastanawia się, kogo wyrwać do tablicy — takie drapanie podobno chroni od nagłej i niespodziewanej odpowiedzi przed frontem klasy.

Jednym z najbardziej popularnych przesądów dorosłych i dzieci jest lęk przed przejściem pod dwoma słupami ustawionymi w kształcie odwróconej litery V. Na pytanie, co może się stać, gdy ktoś przejdzie pod tak ustawionymi słupami, nikt jednak nie umiał mi odpowiedzieć. Słyszałem tylko — po prostu stanie się nieszczęście, to gorsze niż gdyby się potłukło lustro.

Zabobony i przesady, które nadal są w obiegu, można długo wyliczać, przecież w tej klasyfikacji nadal wysoką pozycję zajmują czarne koty, czy też otrzymanie w prezencie chusteczki do nosa, korzystanie z rzeczy starej panny przez młodą narzeczoną, co grozi zerwaniem zaręczyn, czy też stawianie torby, w której są pieniądze na podłodze, co podobno powoduje, że pieniądze nie trzymają się właściciela takiej torby.

Tak jest obecnie i można stwierdzić, że większość osób, choć czasami przestrzega tych reguł, to podchodzi do nich z uśmiechem nie obawiając się różnych nieszczęść wynikających z zapomnienia o tych zasadach.

Nasze prababki też miały swoje przesady, których przestrzegania bardzo pilnowały. Jeżeli ktoś chce poznać zabobony i przesady praprababek, niech przeczyta artykuł do końca traktując jego treść z przymrużeniem oka.

Największa grupa zabobonów i przesądów dotyczy nowo narodzonych dzieci i ich matek. Dla przykładu: — wierzone, że nowo narodzone dziecko, nawet po chrzcie, oraz jego matka pozostają pod szczególną władzą szatana dotąd, aż matka nie pójdzie do kościoła i tam oczyściwszy się z grzechu przystąpi do komunii św. Młoda matka, przed pójściem do kościoła po raz pierwszy po połogu, nie mogła wyjść z izby, bo wtedy miał do niej dostęp szatan i mógł wyrządzić jej jakąś szkodę. Mógł też zabrać niemowlę, a w jego miejsce położyć podciepa (podrzutka), który do szesnastego roku w wielkiej brzydocie i wszelkich chorobach miał żyć.

Szatańskiego podrzutka można było się pozbyć tylko w ten sposób, że święconą różgą należało bić szatańskie pomiotło do czasu, aż szatan prawdziwego dziecięcia nie przyniosł, a swojego podrzutka nie zabrał.

Często się zdarza, iż ojciec marzy o tym, aby urodził się syn, matka, choć nie mówi — myśli o córce. Oboje nie wiedzą, że na to czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka ma wpływ, jaki gość odwiedzi dom w wigilię Bożego Ciała. Jeżeli z samego rana do domu wejdzie kobieta, to z pewnością urodzi się córka, natomiast mężczyzna zwiastuje przyjście na świat chłopca.

Jeden z moich znajomych znając ten zabobon, a spodziewając się potomka i jak każdy ojciec marząc o synu, w wigilię Bożego Ciała warował przy drzwiach domu z mocnym postanowieniem, iż żadnej kobiety nie wpuści za próg. Przesąd przesądem powiedział, ale ryzykować nie będzie. Tego dnia doprawdy poszczęściło mu się, aż trzech gości i sami mężczyźni. Pewny swojego opowiadał wszystkim, że tym razem będzie syn. Być może coś pomieszał, być może recepta na syna nie jest doskonała, bo w efekcie został ojcem dwóch prześlicznych córeczek. Cóż, ale tak to bywa z przesądami.

Wracając do przesądów dotyczących dzieci trudno pominąć całą grupę związaną z rodzicami chrzestnymi, a jest tych przesądów dużo i to takich, które ponoć mają wpływ na całe życie dziecka. Po pierwsze rodzice chrzestni nie mogą pożyczać pieniędzy na pierwszy prezent dla swojego chrześniaka, gdyż dziecko nigdy do żadnej majątności nie dojdzie, a tylko same straty ponosić będzie. Jeżeli rodzice chcą zapewnić dziecku dobre zdrowie, powinni pamiętać, aby do chrztu wynieść je przez okno, a nie przez drzwi, zaś matka chrzestna pobłogosławiwszy dziecko i zasłoniwszy mu twarzyczkę, aby szatan nie miał do dziecka dostępu, powinna podać

dziecko ojcu chrzestnemu, który pod oknem stojąc musi je tak odebrać, aby nie zapłakało. Gdy to się uda, dziecko z pewnością będzie długo żyło i nigdy nie zazna choroby.

Kupując prezenty dziecku, szczególnie pierwszy prezent, rodzice nie zdają sobie sprawy z tego jak ważny jest to zakup. I tak np., gdy ojciec jako pierwszą zabawkę kupi grzechotkę, to dziecko gdy dorośnie, wygada przed matką do wszystkiego, co ojciec chciał przed nią ukryć.

Na koniec coś dla panien, które dotychczas wierzyły w lubczyk i zawiodły się. Dziewczyna, która chce sobie zalotnika przywabić, musi w nocy szukać ziela zwanego nasięzrzal; znalazłszy i wprzódy rozebrawszy się do naga i położywszy się na łące, musi rwać ziele powtarzając słowa, bez których ziele nie ma mocy:

Nasięzrzale
Rwę cię śmiale
Pięć cię palcy, szóstą dłonią
Niech się chłopcy za mną gonią:
Karczmarze,
Owczarze,
Sołtysi,
A potem z całej wsi.

Te słowa trzy razy powtórzywszy, musi potem co tchu uciekać i na goniące ją straszdyła ani się obejrzyć, inaczej postrada życie.

Jednego tylko nie wiem i w żadnej literaturze zajmującej się tymi problemami nie znalazłem opisu wymienionego w przepisie ziela, ani gdzie go szukać. W opisie tego sposobu nie ma również nic na temat, czy panna przed ucieczką ma się ubrać czy też lepiej nie. Problem ten pozostawiam jednak tym panom, które wierząc w siłę zabobonu szukać będą cudownego ziela.

KRZYSZTOF KASPRZAK

*Jeśli w okresie Świąt
Chcesz w domu gościć
Mikołaja i
Mieć z nim
zdjęcie ~
ZŁOŻ OFERTĘ*



*~ który
już teraz
Wszystkim
życzy ~*

Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku

WIESŁAW MALICKI

Aforyzmy

Nie mów usłusznie „amen”, nie znając treści modlitwy bliźniego.

Najbezpieczniej uragać niebu pełzając.

Kto nie ma swego Boga, ten jest tułaczem pośród bogów.

Przyjrzyj się świecy: płonie w twoim imieniu — ale nie zamiast ciebie.

Choinka: frapująca drabina do nieba nadziei.

Dobrze, gdy choć w Wigilię niektórzy mówią ludzkim głosem.

Czy Bóg potrafi kserografować swoje narodzenie?

Kolędy: muśnięcia skrzydłami aniołów... świętecznego sezonu.

Uprzedzaj śmierć każdą formą czasu.

W Wigilię tylko suszony owoc zaczyna swą drugą młodość.

Kutia: nobilitacja pszenicy.

Barszcz z uszkami: tradycja na podstachu.

* * *

KOŁO DZIECI UZDOLNIONYCH

przy Towarzystwie Przyjaciół Dzieci
i Poradni Wychowawczo-Zawodowej
w Otwocku
przy ul. Andriollego nr 77

ZWRACA SIĘ Z GORĄCĄ PROŚBĄ O WSPARCIE FINANSOWE KOŁA

KOŁO NASZE obejmuje opieką około 50-cioro dzieci uzdolnionych poznawczo z rejonu otwockiego zgłaszanych przez rodziców i szkoły.

PROWADZIMY dla nich zajęcia poszerzające ich zainteresowania, takie jak:

- nauka j. angielskiego
- podstawy informatyki
- spotkania z ludźmi kultury i sztuki
- indywidualne badania psychologiczne zakończone pełną diagnozą rozwoju intelektualnego i emocjonalno-społecznego
- indywidualne porady dla rodziców w sprawie prowadzenia pracy wychowawczej z dzieckiem zdolnym oraz udzielania mu pomocy w rozwijaniu jego uzdolnień i zainteresowań
- doradztwo dla nauczycieli w zakresie pracy z dzieckiem zdolnym
- zajęcia stymulujące rozwój
- psychologiczne treningi myślenia twórczego oraz treningi interpersonalne dla dzieci zdolnych
- konsultacje pracy Koła Rodziców Dzieci Zdolnych przy Towarzystwie Przyjaciół Dzieci zainspirowanego przez nasz punkt.

W ramach naszej działalności poświęcamy wiele uwagi stanowi zdrowia naszych podopiecznych, pomagając w razie potrzeby w okresie wakacyjnym i ferii zimowych organizując dzieciom wypoczynek w formie obozów połączonych z nauką.

PRÓBUJEMY wychować i wykształcić młode kadry dla potrzeb społeczeństwa.

WARTO WIEDZIEĆ, że kilkunastu uczniów podopiecznych p. Ewy Kazuk i p. Zdzisławy Berdyn w ciągu jednego roku realizuje program dwóch klas. Są wśród nich i uczniowie naszej szkoły.

Wielu z naszych uczniów to wielokrotni laureaci olimpiad przedmiotowych.

Z krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci, siedmioro dzieci uzyskało możliwość udziału w zajęciach matematycznych w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego prowadzonych pod kierunkiem dr Barbary Feluch.

Dwóch uczniów dostało stypendia z Krajowego Funduszu Dzieci Zdolnych.

Dziećmi naszymi zainteresowała się także Fundacja Piotra Büchnera — zasilając konto bankowe Koła.

Nawiązujemy kontakt z Europejską Organizacją Dzieci Zdolnych.

Niektóre z naszych dzieci mają też sponsorów z zagranicy.

Czy ewenementem w skali kraju jest to, że w okolicy Otwocka tzn. w Józefowie, Wiązownej, Celestynowie i Karczewie mieszka ponad 200-stu uzdolnionych uczniów. Zgłaszani są oni ciągle.

Może wśród nich znajdzie się i TWOJE dziecko?

Pomyśl o tym!

Nie marnujmy tak ogromnego potencjału intelektualnego!

Może kiedyś nasze dzieci będą radnymi, burmistrzami, premierami, prezydentami.

Aby zapewnić krajowi odpowiednie kadry warto zacząć już dziś!

Zainwestujmy w młode i mądre umysły waszych dzieci!

PLANUJEMY

- kursy wielu języków obcych,
- szybkiego czytania,
- robienia notatek szkolnych,
- korzystania z metod nowoczesnego nauczania, znanych w świecie, a nieznanych w polskich szkołach państwowych.

NIE CHCEMY powielać szkolnych kółek zainteresowań ani pracowni w domu kultury. Wszystko co robimy mierzy w stronę wymarzonej SZKOŁY SPOŁECZNEJ.

PRAGNIEMY zorganizować SZKOŁĘ ŚREDNIĄ dla dzieci o szczególnych potrzebach poznawczych i dużych możliwościach intelektualnych.

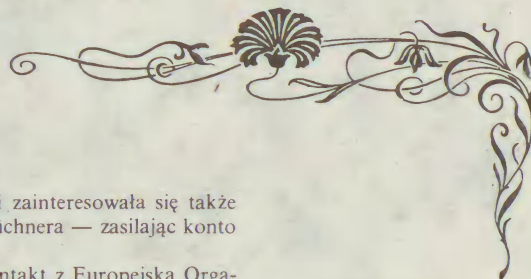
Istnieje wielka szansa uzyskania budynku na ten cel w Otwocku. Jest to budynek — dawny DOM HARCERZA rozbudowany, w stanie surowym i wykończenie jego wymaga nowych nakładów finansowych. Ok. 1 mld złotych.

Dysponując skromnymi funduszami liczymy na życzliwość i odzew z WASZEJ STRONY W RÓŻNYCH FORMACH.

Nasze konto: Bank Spółdzielczy Otwock Nr 925-132-4

KOŁO RODZICÓW DZIECI
UZDOLNIONYCH

tel. poradni 79-26-58



**ACETYLEN,
TLEN,
DWUTLENEK
WĘGLA
ARGON**

w butlach dostarcza
P. H. Marek Dąbrowski
Karczew,
ul. Armii Krajowej 82 m. 7
TEL. 79-60-31 w 283
w godz. 7—15
79-67-46 po 15-ej

✓ IDEO

REPORTAŻE

TEL. 79 52 25

ELŻBIETA CHADA



**Pokłon
Trzech
Króli**

14-
Wiek.
Muzeum
Sztuki
Budapeszt.

Listy do redakcji

W sprawie grobu Cyganów

Czytając zamieszczony w październikowym numerze „Głosu Karczewa” art. pt. „Sprawa dla prokuratora” mieliśmy uczucia co najmniej mieszane. Jesteśmy osobami najbardziej zainteresowanymi tą sprawą. Mieszkamy właśnie w tym miejscu, gdzie prawdopodobnie znajduje się mogiła zamordowanych Cyganów. Uważamy, iż nie jest to chlubą naszego miasta, że to miejsce nie zostało do tej pory zbadane i upamiętnione. Jednak nasunęły nam się inne skojarzenia niż autorowi artykułu P. Kasprzakowi i wiele innych pytań.

Gdzie był do tej pory (przez prawie 50 lat) p. Paszkowski, któremu podobno udało się uratować, a została zamordowana i pochowana jego rodzina? Dlaczego niczego nie zrobił wcześniej, aby upamiętnić to miejsce? Owszem, był ktoś zimą ubiegłego roku i palił znicze, ale nie wokół budowanego domu, tylko ok. 15 metrów dalej. Między naszymi działkami jest wolna nr 4903 o pow. 371 m²

nie należąca do nikogo i właśnie tam trzech panów wyglądających na Cyganów paliło znicze. Od tamtej pory nie było nikogo. Czyżby już zapomnieli? I następne pytania. Gdzie byli świadkowie tego mordu? Dlaczego nikt nie postawił choćby drewnianego krzyża? O rozstrzelaniu Cyganów przez hitlerowców słyszeliśmy jeszcze w dzieciństwie, później również. Dlatego nie bardzo kojarzy nam się ten fakt z „odkrywaniem białych kart w historii naszego narodu”. O tym wiedzieli wszyscy dawni mieszkańcy Karczewa. Wielu z nich żyje do dziś. Jednakże wątpliwym dowodem jest wskazanie niejsca przez ludzi w podeszłym wieku. Po tak długim czasie bardzo łatwo pomylić się można o kilkanaście metrów. Uważamy, że mogiła nie może znajdować się pod budynkiem, gdyż robiliśmy głębokie wykopy — ok. 4,5 metra. Msielibyśmy natrafić na szczątki szkieletów, bo ziemia w tym miejscu jest piaszczysta. Zapewniamy, że żadnych ludzkich kości w tym miejscu nie było. Znaleźliśmy, natomiast wysypisko śmieci, kupę starego żelaza, czaszki bydłce. Chyba w ten sposób nie upamiętniono mogiły Cyganów?

Wobec zaistniałej sytuacji domagamy się wyjaśnienia tej sprawy. Odnalezienie miejsca, w którym pochowani zostali ludzie. W tym celu należy wykonać specjalistyczne badania gruntu. Uważamy, że prochy pomordowanych powinny zostać przeniesione na cmentarz, to byli przecież ludzie. To powinno być zrobione już wiele lat wcześniej, ale i teraz trzeba to naprawić.

Zastanawiająca jest też rola p. Grzanki w tej sprawie. Na początku, kiedy mieliśmy

rozpoczynać budowę, przychodził, podziwiał ładny widok. Chciał nawet zamienić się na działki, ponieważ bardzo mu się podobały. Dopiero dużo później, kiedy budynki były w budowie, wynikła sprawa Cyganów. Czy sprawa nabrałaby takiego rozgłosu, gdyby wówczas doszło do zamiany, lub. p. Grzanka wylosował właśnie tę działkę?

Nadmieniamy, że pojawiają się również pogłoski o dokonanej po wojnie ekshumacji zwłok. Może i tę sprawę należałoby wyjaśnić. Czy jest to tylko fikcja, czy rzeczywistość.

Mamy jeszcze jedną uwagę do autora artykułu. Po co ta ironia odnośnie picia herbaty, czy opalania się na grobie. Czy nie pomyślał Pan, że możemy czuć się tym dotknięci? Nie jesteśmy i nie czujemy się winni w tej sprawie. Na ulicy, w sklepie spotykamy się z nietaktownymi pytaniami typu: „Jak się mieszka wśród Cyganów”. Czy herbata smakuje?” itp. Może przed wydrukowaniem artykułu należałoby porozmawiać również z nami. Jesteśmy ludźmi młodymi, którzy z wielkim trudem pobudowali swoje upragnione domy, a już od początku znaleźliśmy się w sytuacji, która może okryć niesławą nasze nowopowstałe osiedle i pozostawić na nim trwałe piętno.

Panie Krzysztole, może zechciałby pan przyjść i napić się z nami herbaty. Zapraszamy. Prosimy również o wydrukowanie naszego listu, aby wszyscy Czytelnicy mogli dowiedzieć się, co myślimy i czujemy bezpośrednio zainteresowani mieszkańcy Osiedla Warszawskiego

Z poważaniem:

Urszula i Krzysztof Trzaskowscy
Grażyna Trzepak
Stanisław i Grażyna Tolak
Barbara Palczyk
Janusz Mączewski
Elżbieta Onisk

Wydawca: Urząd Miasta i Gminy Karczew

Adres redakcji: Karczew, ul. Warszawska 28, telefon 79-63-30

Redaguje zespół w składzie: Mirosław Dąbrowski, Krzysztof Kasprzak, Zdzisław Laskus, Ryszard Majewski, Tadeusz Olszewski (redaktor naczelny) Teresa Trzaskowska

Redakcja zastrzega prawo dokonywania skrótów i tytułów materiałów niezamówionych.

Zdjęcia: Archiwum, Dariusz Broniszewski

Opracowanie graficzno-techniczne: Tadeusz Piwowarczyk,

Druk: ZUP Karczew

Cena: 1500 zł

P.S. Z chwilą otrzymania wyników badań gruntu niepotwierdzających usytuowania mogiły pod budynkiem, myślimy, że przeprosi nas Pan publicznie na łamach „Głosu Karczewa”